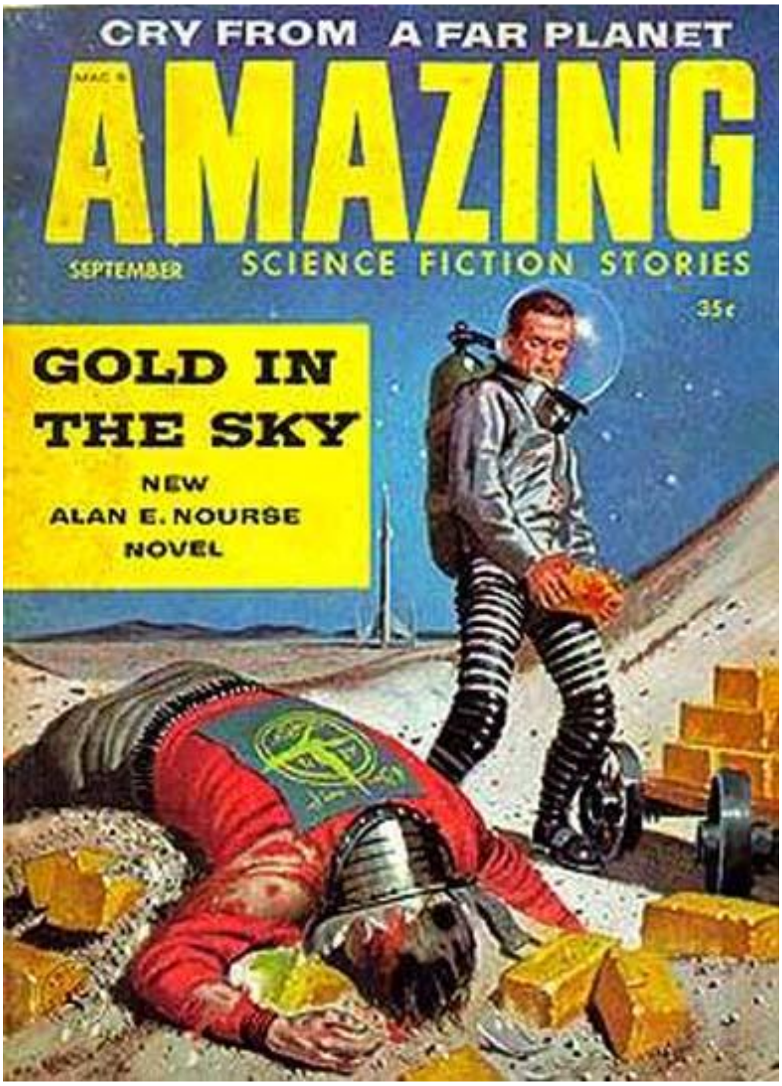

CRY FROM A FAR PLANET
AMAZING
SEPTEMBER
SCIENCE FICTION STORIES
35¢
GOLD IN THE SKY
NEW
ALAN E. NOURSE
NOVEL

Tom Godwin

Krzyk z dalekiej planety

(Cry From A Far Planet)

Amazing Science Fiction Stories, September 1958.
Ilustracje: Martinez.
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Problem odróżnienia przyjaciół od wrogów stanowił jedno z największych wyzwań w czasie podboju kosmosu. Tę prawdę mógłby potwierdzić niejeden z martwych podróżników kosmicznych. Bardzo trudno podjąć właściwą decyzję, nawet jeżeli obcych można zobaczyć i ocenić ich sposób działania; daleko trudniej jednak, kiedy są oni jedynie szmerem na wietrze.



Przyjazny uśmiech to obnażone zęby. Może więc on oznaczać wywarczaną groźbę.
Pomylenie jednego z drugim, może cię kosztować życie.
Występuj przeciw obcej istocie jedynie w przypadku niezbędnej obrony własnej.
NIE UFAJ OBCEJ ISTOCIE W ŻADNYM PRZYPADKU.

— Z *Podręcznika Statku Eksploracyjnego*.

Ze skupieniem i uwagą wsłuchiwał się w ciszę panującą w sterowni Statku Eksploracyjnego. Nie było słychać absolutnie niczego, ale to właśnie go niepokoiło; do jego uszu docierała tylko ciężka złowieszcza cisza, a przecież przekaźniki audio ekranów wizyjnych powinny transmitować z pobliskiej wioski całe mnóstwo najróżniejszych dźwięków i odgłosów. W dodatku minęło już ponad sześć godzin od chwili gdy miał się u niego pojawić jeden z tubylców, Throon. Planowali usiąść sobie razem wygodnie koło statku, aby kontynuować niełatwą próbę nauczenia się nawzajem, języków jakimi mówili.

W jaskrawym świetle sterowni ekran wizyjny wyglądał na niemal zupełnie czarny, pomimo że na zewnątrz było właśnie samo południe. Słabe czerwone słońce nigdy nie przebijało się poprzez grubą, gęstą atmosferę tej planety, i dla ludzkiego oka nawet pełnia dnia nie była niczym więcej niż tylko lekko zabarwioną na czerwono ciemnością.

Włączył zewnętrzne reflektory statku i ekran wizyjny rozbłysnął jasnym, białym życiem, pokazując puste polany, wcinające się głęboko między zagajniki obcych, purpurowych drzew. Z roztargnieniem stwierdził, że od czasu jego przybycia drzewa zdawały się nieco zmieniać kolor.

Wioska pozostawała poza zasięgiem wzroku, skrywana przez otaczające ją drzewa, ale na szerokim, pustym obszarze, jaki można było monitorować na ekranach statku, powinien zobaczyć ślady jakiejś aktywności. Nie dało się dostrzec zupełnie niczego, nawet wzdłuż odległej kreski czegoś, co normalnie powinno być ruchliwą drogą. Tubylcy coś szykowali, a on domyślał się, na podstawie trudnych doświadczeń z innych obcych światów, że nie będzie to nic specjalnie miłego. Musiało chodzić o jakiegoś rodzaju kolejne nieporozumienie, a on nie poznał jeszcze ich skomplikowanego języka na tyle dobrze, aby zapytać ich na czym ono polega…

****

Nagle, tak jak to się zwykle dzieje, odniósł wrażenie że coś lub ktoś stoi tuż za jego plecami i spogląda mu przez ramię. Opuścił rękę na blaster, który zawsze nosił przy sobie i raptownie się odwrócił.

Nikogo za nim nie było. Przez cały czas. Sterówka była kompletnie pusta, nie było w niej nawet żadnego miejsca, w którym ktokolwiek lub cokolwiek mogłoby się ukryć, a drzwi były zabezpieczone, zamknięte na zamek, sterowany przez leżącego obok jego ręki pilota. Nie było nikogo.

Wrażenie, że jest obserwowany zanikło, tak jak gdyby obserwator wycofał na większą odległość. W ciągu ostatnich sześciu dni odebrał to uczucie, chyba już po raz setny. A w nocy, kiedy spał, coś przybywało aby węszyć w jego umyśle; bezimienne, bezkształtne i całkowicie obce. W ostatnich trzech dobach napięcie tak narosło, że nie rozstawał się z blasterem. Nawet w nocy, kiedy leżał w łóżku trzymał go nie dalej, niż na szybkie wyciągnięcie dłoni.

Cokolwiek by to jednak było, nie mogło znajdować się wewnątrz statku. Przeszukał statek już dwukrotnie; przeprowadził metodyczne sprawdzenie przedziału za przedziałem. Nie przyniosło niczego. To musiała być robota tubylców spoza statku. Chyba że…

Gdyby tubylcy mieli zdolności telepatyczne, to czemu ten, który nazywał się Throon, wdawał się w męczące pozorowanie próby nauczenia się jakiegoś zrozumiałego sposobu komunikacji?

Było jeszcze inne wytłumaczenie, którego nie chciał zaakceptować: szedł oto w ślady Willa Garreta ze Statku Dziewiątego, który mniej więcej dwa miesiące po śmierci swojego brata bliźniaka, absolutnie celowo, runął na białe słońce.

Spojrzał na fotel, stojący tuż za jego własnym, fotel Johnny'ego, który na zawsze już pozostanie pusty, i jego myśli ponownie wróciły na stare, zgorzkniałe szlaki. Zarząd Eksploracji mylił się, kiedy uznał, że bliska więź pomiędzy braćmi bliźniakami spowoduje, że będą oni stanowili idealne dwuosobowe załogi, podczas samotnych, trwających przez całe życie wypraw Statków Eksploracyjnych. Jednojajowi bliźniacy byli sobie zbyt bliscy, i jeśli któryś z nich umierał, to jakaś część drugiego umierała razem z nim.

On i Johnny przebyli razem przez kosmos, tysiące lat świetlnych, a z w końcu dotarli na ponurą planetę, którą chciałby nazwać Światem Johnny'ego. Nigdy nie powinien pozwolić Johnny'emu na samotną wspinaczkę na zbocze przypominającej plaster miodu góry — ale Johnny chciał zrobić kilka rutynowych zdjęć czarnych, podobnych do tygrysów zwierząt,

które nazwali kotami jaskiniowymi, a które wcześniej wydawały się zupełnie nieszkodliwe i nieśmiałe, pomimo swojego groźnego wyglądu.

– Wezmę dla nich worek jedzenia, coś co jak mi się wydaje, powinno im smakować – powiedział Johnny. – Chcę spróbować zrobić jakieś ich dobre zbliżenia.

Dziesięć minut później usłyszał dolatujące z oddali trzaski blastera Johnny'ego. Błyskawicznie wbiegł na zbocze góry, wiedząc już, że się spóźnił. Znalazł dwa koty jaskiniowe leżące w miejscu, gdzie zabił je Johnny. Potem znalazł Johnny'ego, u podnóża wysokiej ściany. Był martwy, złamał kark podczas upadku. Jedzenie, które chciał dać kotom, rozsypało się z porwanego worka i leżało porozrzucane wszędzie dookoła jego ciała.

Pochował Johnny'ego następnego dnia, a zimny wiatr lamentował pod ołowianoszarym niebem. Zbudował dla niego pomnik; mały kopiec zmrożonych kamieni, który miały szansę zobaczyć jedynie dzikie zwierzęta.

****

Zadźwięczał sygnał, wysoki i mocny, i wspomnienia prysły jak bańka mydlana, rozerwane na strzępy. Nad komunikatorem hiperprzestrzennym błyskało pomarańczowe światełko; sygnał oznaczający, że wywołuje go z Ziemi Zarząd Eksploracji.

Przerzucił przełącznik i powiedział:

– Paul Jameson, Statek Eksploracyjny Jeden.

Z głośnika przemówił znajomy głos Brendera:

– Minęło już nieco czasu od twojego wstępnego raportu. Czy wszystko w porządku?

– W pewnym sensie – odpowiedział. – Jutro przekażę panu szczegółowe informacje.

– Daj mi teraz krótki przegląd sytuacji.

– Jeżeli nie brać pod uwagę ich krótkiego, brązowego futra, tubylcy mają wygląd humanoidalny. Są jednak pewne podstawowe różnice. Temperatura ich ciała jest niższa, dostosowana do panujących tu warunków klimatycznych. Widzą w zakresie rozciągającym się od częstotliwości mniej więcej czerwieni do fal podczerwonych. Osłaniają swoje oczy przed blaskiem czegokolwiek, co ma temperaturę mniej więcej wrzącej wody, ale spoglądają prosto w reflektory statku, w ogóle ich nie widząc.

– A co z ich wiedzą naukową? – spytał Brender.

– Rozumieją co to jest nauka, ale idą w zupełnie odmiennych kierunkach, niż nasze własne, na ich etapie rozwoju. Weźmy dla przykładu: napędzają swoje maszyny substancjami chemicznymi, ale nie używają pary, ciepła, nie znają procesu destylacji.

– To jest właśnie to, co mieliśmy nadzieję odnaleźć — światy, gdzie eksplorowane są dziedziny i gałęzie badań, nieznane naszym naukowcom. A co z ich językiem?

– W tej dziedzinie na razie nie ma jeszcze żadnego postępu. – Powiedział Brenderowi o ciszy we wiosce i dodał: – Nawet gdyby Throon w końcu się pokazał, nie jestem w stanie spytać go, co jest nie tak. Nauczyłem się paru słów, ale mają one tak wiele różnych definicji, że nie potrafię ich użyć.

– Rozumiem – powiedział Brender. – Zmienne i niepowiązane ze sobą definicje, niewykrywalne wzorce odmiany — a czasami języki, które nie mają nawet możliwego do dostrzeżenia podziału na słowa. Bracia Singer, ze Statku Ósmego wpadli na to ostatnie. Uznaliśmy ich za martwych.

– Singerowie — nie żyją? – zawołał. – Dobry Boże, przecież dopiero co miesiąc temu zabici zostali bracia Ramon!

– Okoliczności były podobne – powiedział Brender. – Zawsze zresztą są. Nie znamy żadnego sposobu, aby ludzie z Eksploracji mogli powiedzieć tubylcom, że nie mają zamiaru

wyrządzić im krzywdy, a podejrzliwość tubylców stopniowo narasta do poziomu niebezpiecznej wrogości. Singerowie zgłaszali, że tubylcy na tej planecie są nie tylko podejrzliwi, ale również wszyscy są potężnie uzbrojeni. Singerowie prowadzili sprawy ostrożnie, mając własną broń zawsze pod ręką. Ale tubylcy musieli jakoś ich zaskoczyć, kiedy się nie pilnowali — od ich ostatniego raportu minęły już cztery miesiące.

Na jakiś czas zapanowała cisza, potem Brender dodał:

– Ich statek był dziewiąty — a mieliśmy tylko piętnaście.

Nic nie odpowiedział, ale wnioski ze stwierdzenia Brendera nasuwały się same. Powoli dla wszystkich, oczywistym stawało się jaki będzie koniec Planu. Jaki musiał być.

****

Minęły zaledwie trzy lata, odkąd piętnaście ciężko uzbrojonych statków Eksploracyjnych, wyruszyło by wytyczyć szlaki dla ekspansji Terry w galaktyce; by odpowiedzieć na zew odległych planet i znaleźć wszystkie światy na których pojawiło się inteligentne życie. To był ostateczny cel Planu: zebrać, scalić i powiązać ze sobą całą różnorodną wiedzę wszystkich inteligentnych istot żywych w galaktyce. Wśród osiągnięć będących wynikiem analizy tej olbrzymiej masy danych, mógł być na przykład napęd statku szybszy niż hiperprzestrzeń; Napęd Trzeciego Poziomu, dzięki któremu w zasięgu znalazłyby się wszystkie galaktyki Wszechświata.

A teraz z piętnastu wysłanych statków dziewięć zostało już utraconych, a z trzydziestu ludzi zginęło dziewiętnastu…

– Bariera komunikacyjna – powiedział Brender. – Przyczyną utraty każdego ze statków była ta przeklęta bariera komunikacyjna. I nie jesteśmy w stanie absolutnie nic z tym zrobić. To ona blokuje wszystko…

To było niemal wszystko co mieli sobie do powiedzenia, i niespokojnie zaczął przechadzać się po kabinie, pragnąc aby można było już oderwać statek od tej planety i ruszyć nim w górę. Bez Johnny'ego u boku, ten mroczny świat wydawał się być dusznym grobowcem. Marzył o tym, aby zostawić go już za sobą i wyruszyć ponownie między gwiezdne obłoki galaktyki, lecąc i lecąc w gwiazdy, bez końca…

Upiorne echo dotknęło jego umysłu; niespokojna, gryząca tęsknota. Stanął twarzą do zamkniętego włazu, wiedząc, że za nim nie może być kompletnie niczego. Kiedy to zrobił, po raz pierwszy ogarnął go prawdziwy lęk. Ta rzecz była samotna — rzecz, która go obserwowała była tak samo samotna jak on…

Czy mogła być czymś innym niż wytworem jego własnego umysłu na pierwszym etapie obłędu?

****

Tubylcy przybyli dziesięć minut później.

Na ekranie wizyjnym pojawił się ich chemicznie napędzany pojazd, który wyłonił się spomiędzy drzew i szybko przetoczył się przez pustą polanę. Siedziało w nim czterech tubylców, podczas gdy piąty leżał na podłodze, najwidoczniej poważnie chory lub ranny.

Kiedy pojazd stanął tuż przed wejściem do śluzy powietrznej, rozpoznał tubylca na podłodze. To był Throon, ten, z którym wspólnie udzielali sobie lekcji języka.

Kiedy wyszedł ze statku, czekali na niego, z podobną do pistoletów bronią za pasem. Cała ich postawa wyrażała ponure oskarżenie.

Throon mamrotał coś niezrozumiale, w malignie. Jego skóra, w miejscach w których nie pokrywało jej brązowe futro wyglądała nienormalnie. Nie było najmniejszej wątpliwości, że umierał.

Przywódca pozostałej czwórki wskazał na Throona i krótko powiedział załamującym się głosem:

– *Ko reegar feen no-dran!*

Tylko jedno ze słów brzmiało znajomo: *Ko*, co znaczyło „ty" i „wczoraj" i wiele, wiele innych rzeczy. Sens całego zdania było dla niego kompletnie niezrozumiały.

Opuścił rękę, przysuwając ją do blastera, a tymczasem przywódca ponownie zaczął coś mówić; krótki ciąg nieznanych słów, zakończonych surowym żądaniem „*kreson!*".

Kreson znaczyło „teraz", albo „bardzo szybko". Wszystkie pozostałe słowa nawet nie brzmiały mu znajomo. Wyraźnie na coś czekali, roztaczająca się wokół nich ponura atmosfera groźby, spotęgowała się kiedy nic nie odpowiedział. Bez skutku próbował znaleźć jakiś sposób wyjaśnienia im, że przecież nie był odpowiedzialny cha chorobę Throona i nie był w stanie jej wyleczyć.

Wtedy nagle spostrzegł wiecheć liści, które zaczepiły o narożnik pojazdu, kiedy przejeżdżał on przez położone dalej drzewa.

Miały intensywny, purpurowy kolor. Wszystkie drzewa wokół statku, przez kontrast wyglądały na niemal szare.

Co znaczyło, że jednak *był* odpowiedzialny za stan Throona.

Zimne, białe światło reflektorów statku, pod którym on i Throon siadywali dzień za dniem, zawierało promieniowanie przechodzące głęboko w pasma ultrafioletu. Dla żywych zwierząt i roślin na tej ciemnej planecie, takie promieniowanie było co prawda zbyt krótkie by je zobaczyć, ale bez wątpienia śmiertelne.

Throon umierał na ciężką chorobę popromienną.

Było to coś, co powinien był przewidzieć i nie dopuścić do tego. W dodatku nigdy by się to nie zdarzyło, gdyby przyjął dawne pantomimiczne sugestie Throona, składane już na początku znajomości, zapraszające go razem z nim do wioski, by tam pracować nad nauką języka. Wtedy do oświetlenia używałby nieszkodliwej latarki bateryjnej… ale nie było pewności, czy tubylcy nie planują zastawienia na niego we wiosce pułapki, tak więc odmówił pójścia.

Nie miało to jednak większego znaczenia — na szczęście na statku miał skomplikowane urządzenie neutralizujące radiację i rekonstruktor komórkowy, który już po kilku godzinach pobytu Throona w jego komorze powinien przywrócić go do pełni zdrowia.

Zwrócił się do przywódcy czterech tubylców, wykonując ręką gest od Throona do śluzy powietrznej.

– Chodźmy — tam – powiedział języku tubylców.

– *Bron!* – odpowiedział przywódca. Słowo znaczyło „Nie", a sposób w jaki to powiedział wskazywał na determinację wskazującą, że nie ustąpi z tego ani na krok.

Pięć minut prób przekonania ich, aby zabrać Throona na statek, jedynie zwiększyło ich podejrzliwość co do jego motywów, do krytycznie niebezpiecznego stopnia. Gdyby tylko mógł im wytłumaczyć, *dlaczego* chciał zabrać Throona do środka statku… Ale niestety nie udało mu się to i aby mógł wziąć ze sobą Throona, najpierw musiał pozbyć się pozostałej czwórki, nie wyrządzając im krzywdy. To akurat mógł zrobić bez większego problemu, używając jednego z paralizatorów igłowych ze statku.

Zrobił krok w kierunku statku, i wypowiedział kilka słów, które zgodnie z jego najlepszą wiedzą znaczyły „Zaraz wracam".

– *Feswin ilt k'la.*

Ich odpowiedzią na to, było schwycenie za broń, w desperackim pośpiechu, dokładnie w chwili gdy ich przywódca wyrzucił z siebie ochrypłe słowo rozkazu. Błyskawicznym ruchem, doprowadzonym do perfekcji przez długi trening, wyszarpnął i podniósł w górę blaster. Ich broń była wysunięta dopiero do połowy, kiedy padło jego ostrzeżenie:

– Bron!

****

Zastygli w bezruchu, ale nie wypuścili broni z ręki. Wycofywał się tyłem do śluzy powietrznej, kontrolując ich blasterem. Nerwowy, wyczekujący sposób w jaki obserwowali jego postępowanie, powiedział mu, że najdrobniejsza chwila nieuwagi, mogła oznaczać jego śmierć. Nie przerwał ruchu lufą blastera, dopóki nie znalazł się w śluzie powietrznej i nie zasunął jej zewnętrznych wrót.

Był pewien, że kiedy wróci tubylców już nie będzie. Był pewien również innej rzeczy: Że cokolwiek im powiedział, to nie było to, co myślał że mówi.

Kiedy ponownie otworzył śluzę powietrzną, zobaczył, że polana jest pusta. W tej samej chwili podobna do bomby rakieta uderzyła w statek tuż ponad wejściem do śluzy i eksplodowała z potężnym hukiem. Trzasnął przycisk *Zamknij*, i drzwi szczęknęły zamknięte tuż przedtem zanim kolejne dwie rakiety walnęły w jego nieprzenikalny pancerz.

A więc, pomyślał ze zmęczeniem, to jest tak.

Odłożył na bok niepotrzebną już broń igłową. Wszystko się skończyło, zanim nawet miał szansę jej użyć. Teraz mógł uratować Throona jedynie zabijając kilku innych — albo mógł odlecieć statkiem, zostawiając Throona na pewną śmierć. Oba te rozwiązania mogą spowodować, że tubylcy będą się bali i nienawidzili Terran; nienawiść i strach to wszystko co przywitałoby wszystkie kolejne ich statki.

To nie była droga, która mogła dać jego rasie narodziny pokojowego imperium galaktycznego, nie takie były również cele stojące za Planem. Ale gdziekolwiek udali się ludzie z Eksploracji, zawsze napotykali tam na śmiertelną barierę; nieuchwytną, nie do przezwyciężenia, barierę komunikacyjną. Broń, którą statki Eksploracyjne przenosiły na swoich pokładach, miała moc pozwalającą na zniszczenie całej planety — nie miała jednak mocy zadania kilku prostych pytań, które mogłyby zapobiec fatalnym nieporozumieniom.

I zanim miną kolejne trzy lata, wszyscy ludzie z Eksploracji zginą, a ostatni statek Eksploracyjny zostanie utracony.

Po raz pierwszy odczuł pełną moc bezsilności i braku nadziei. Kiedy żył Johnny, było zupełnie inaczej. Johnny, śmiał się nawet w najgorszych sytuacjach i mówił „*Znajdziemy jakiś sposób, Paul…*"

Wspomnienie urwało się tak nagle i nieoczekiwanie, poczuł, jakby Johnny był gdzieś w pobliżu. Uczuciu temu towarzyszyła miękka otoczka spokoju, jakby ze snu, w której śmierć Johnny'ego stawała się czymś mglistym i odległym, czymś co wydarzyło się w innym śnie. Po prostu wiedział, i nie budziło to jego najmniejszego zdziwienia, że Johnny był w sterówce.

Część jego umysłu próbowała odrzucić tę myśl jako iluzję. Nie słuchał jej jednak — nie chciał słuchać. Biegł w stronę windy statku, potykając jak ktoś nie w pełni przebudzony. Johny czekał na niego w sterówce … żywy … żywy …

****

Kiedy tylko postawił nogę w sterówce, zawołał:

– Johnny…

Coś poruszyło się koło pulpitu sterowniczego, czarne i obce, stojąc na krótkich tylnych nogach, osiągało wzrost człowieka. Na kociej twarzy płonęły żółte oczy.

To był kot jaskiniowy, taki sam jak te, które zabiły Johnny'ego.

Kiedy to do niego dotarło, widok ten stał się dla niego wstrząsającym szokiem i straszliwym rozczarowaniem. Johnny nie czekał na niego… a przynajmniej nie żywy…

Podobny do snu stan uleciał nagle, chwycił za blaster. Łapa kota jaskiniowego mignęła uderzając główny przełącznik światła statku, błyskawicznym ruchem, dużo szybszym niż jego. Kabinę natychmiast spowiła kompletna ciemność.

Strzelił i lanca bladoniebieskiego ognia przecięła kabinę, pozwalając zobaczyć, że kota już w niej nie ma. Wystrzelił ponownie, szybko i bez namysłu, prosto przed siebie. W świetle bladego płomienia widać było jedynie rozprutą metalową podłogę.

– Nie jestem tam, gdzie myślisz.

Słowa dźwięczały wyraźnie w jego umyśle, nie można było jednak ustalić kierunku z którego dobiegały. Wstrzymał oddech, nasłuchując najmniejszego szelestu wyściełanych poduszeczkami stóp, gdyby kot obnażył pazury by go zabić, i przeprowadził w myślach szybką analizę sytuacji.

Kot jaskiniowy miał zdolności telepatyczne, był istotą inteligentną i przez cały ten czas przebywał na statku. To stworzenie razem z innymi chciało opanować statek i zabiło Johnny'ego, aby zredukować opór do minimum. Jemu samemu pozwolono chwilowo żyć, dopóki kot jaskiniowy nie nauczył się z jego umysłu, jak operować niemal automatycznymi urządzeniami sterowniczymi. Teraz, osiągnął już swój cel…

– Mylisz się.

Ponownie nie było żadnego sposobu na określenie kierunku z którego doleciała myśl. Znów zaczął nasłuchiwać, dziwiąc się, dlaczego stworzenie nie zaczaiło się na niego przy drzwiach.

Nadeszła kolejna myśl:

– Musiałem pozwolić abyś mnie zobaczył, inaczej nie uwierzyłbyś, że istnieję. Dlatego zrobiłem to tutaj, gdzie mogłem zgasić wszystkie światła i mam czas porozmawiać z tobą, zanim zdążysz mnie zabić. Pozwoliłem ci myśleć, że jest tu twój brat… – Nastąpiła krótka przerwa. *– Przepraszam. Przepraszam. Powinienem użyć jakiejś innej metody zwabienia cię tutaj.*

Skierował blaster w stronę, z której zdało mu się, że doleciał go jakiś słaby odgłos, w pobliżu urządzenia astrogacyjnego z drugiej strony kabiny.

– Nie mieliśmy zamiaru zabić twojego brata.

Nie uwierzył w to i nie odpowiedział.

– Kiedy nawiązaliśmy z nim pierwszy kontakt telepatyczny, wyszarpnął blaster i wystrzelił. W jego umyśle zapanowało przekonanie, że udawaliśmy tylko nieszkodliwe zwierzęta, abyśmy mogli go zaskoczyć, kiedy nie będzie się pilnował i zabić. Kiedy wystrzelił drugi raz, jeden z nas skoczył na niego, aby wytrącić mu blaster z ręki. Potrzebowaliśmy jedynie kilku minut na wyjaśnienia… ale on nie chciał nam zaufać. Błędna ocena odległości spowodowała, że przeleciał przez krawędź ściany.

Ponownie nic nie odpowiedział.

– Nie zamierzaliśmy zabić twojego brata – nadeszła myśl, – *ale ty mi nie wierzysz.*

****

Przemówił po raz pierwszy.

– Nie, nie wierzę ci. Fizycznie wyglądasz na kota, a koty nie mylą się w ocenie odległości. Teraz chcesz czegoś ode mnie, zanim mnie także spróbujesz zabić. O co chodzi?

– Abyś zrozumiał, będę musiał opowiedzieć ci trochę o mojej rasie. Sami siebie nazywamy Varn, przynajmniej o tyle o ile można to wyrazić w języku mówionym. Jesteśmy bardzo starą rasą. Początkowo nie mieszkaliśmy w jaskiniach, ale nadszedł długi okres czasu, tysiące lat, kiedy klimat naszego świata stał się tak gwałtowny, że zostaliśmy zmuszeni do tego by się w nich ukryć. Było tam zupełnie ciemno, ale nasz zmysł węchu bardzo się wyczulił, co wraz z dużą wrażliwością na zmiany temperatury, pozwala nam wykrywać obiekty znajdujące się w naszym bezpośrednim pobliżu. W jaskiniach rosło wiele podziemnych roślin, tak że żywność nie była problemem.

****

– Zawsze mieliśmy niewielkie zdolności telepatyczne, a w czasie naszego długiego pobytu w jaskiniach inteligencja i siła telepatyczna w pełni się rozwinęły. Mieliśmy jedynie nasze umysły — nauki fizyczne nie mogą powstać w ciemnych jaskiniach i przy wykorzystaniu niezdarnych łap.

– Nadeszły w końcu czasy, kiedy mogliśmy opuścić jaskinie, ale było to dla nas jedynie nieznaczną pomocą. Na świecie, który zamieszkiwaliśmy nie było żadnych zasobów poza ziemią, kamieniami i kiepską trawą porastającą równiny. Zaczęliśmy rozmyślać o wszechświecie i wydedukowaliśmy, ze gwiazdy są odległymi słońcami, ponieważ nasze słońca każdej zimy same stawały się gwiazdami. Prowadziliśmy badania najlepiej jak mogliśmy, ale gwiazdy mogliśmy oglądać jedynie w taki sposób jak widzą je małe dzikie zwierzęta. Było tak wiele rzeczy, których chcieliśmy się dowiedzieć, a wtedy już minęliśmy szczytowy punkt naszego rozwoju i zaczynaliśmy zmierzać ku wymarciu. Nasze środowisko było więzieniem, z którego nigdy nie zdołaliśmy się wyrwać.

– Kiedy przybył wasz statek, pomyśleliśmy, że wkrótce uda nam się uwolnić. Chcieliśmy was prosić, abyście zabrali kilkoro z nas ze sobą, i porozumieć się z wami, tak by inne istoty z waszej rasy zatrzymały się na naszym świecie. Ale uznaliście nas za zwierzęta, przydatne jedynie na ciepłe futrzane płaszcze, ponieważ żyliśmy w jaskiniach i nie mieliśmy nauki, ani żadnych artefaktów technicznych — niczego. Mieliście wystarczającą siłę, by nas zniszczyć, a my nie wiedzieliśmy jaka będzie wasza reakcja, kiedy dowiecie się, że jesteśmy inteligentni i mamy zdolności telepatyczne. Rasa telepatów musi mieć rygorystyczny kodeks etyczny i nigdy nie będzie narzucać się niechciana — ale czy byście w to uwierzyli?

Nic nie odpowiedział.

– Śmierć twojego brata zmieniła wszystko. Odleciałeś tak szybko, że nie było możliwości, aby dowiedzieć się więcej o tobie. Ukryłem się na statku, tak że mogłem cię badać i czekać do chwili kiedy będę w stanie udowodnić, że mnie potrzebujesz. Teraz mogę to zrobić — Throon umiera, a ja mogę dać ci właściwe słowa wyjaśnienia, które spowodują, że inni przyniosą go na statek.

– A co jest twoim prawdziwym celem? – zapytał.

– Pokazać ci, że ludzie potrzebują Varnów. Chcecie badać galaktykę i uczyć się. To samo chcą robić Varnowie. Wy macie statki, a my mamy zdolności telepatyczne, które położą kres problemowi z komunikacją. Twoja rasa i moja mogą odnieść sukces jedynie wtedy, kiedy będziemy działać wspólnie.

Zaczął szukać prawdziwego, ukrytego celu, stojącego za propozycją Varna, i już wiedział co to musiało być.

– Cel długookresowy… o którym zapomniałeś wspomnieć … wasz ostateczny cel.

– Wiem o czym myślisz. Jak mogę udowodnić, że się mylisz — teraz?

Nie było żadnego sposobu zarówno na to, aby Varn udowodnił że się myli, ani na to by on był w stanie wykazać zdradzieckie zamiary stojące za propozycją Varna. Dowód mógł pojawić się dopiero z czasem, kiedy współpraca Terran z Varnami przekształciłaby ludzi w rasę niewolniczą.

Varn przemówił ponownie:

– Nie chcesz uwierzyć, że jestem szczery?

– Musiałbym być naiwnym głupcem, aby ci uwierzyć.

– Jeżeli nie zaczniemy działać bardzo szybko, będzie za późno na to, aby uratować Throona. Powiedziałem ci dlaczego tu jestem. Jedyne co mogę zrobić aby cię przekonać, to okazać ci zaufanie jako pierwszy. Kiedy włączę światło, będziesz miał pełną możliwość, aby mnie zabić.

****

Varn stawiał na szali swoje życie w grze, w której on ryzykował losy Planu i swojej rasy. Tę grę mógł skończyć na pierwszy odgłos ruchu od strony urządzenia astrogacyjnego z drugiej strony kabiny…

– Przez cały czas byłem tutaj, obok ciebie.

Futrzana łapa musnęła jego twarz, a pazury delikatnie przejechały po gardle.

Zawirował i strzelił. Spóźnił się — Varn już odskoczył daleko miękkim, cichym ruchem, a promień trafił jedynie gołą podłogę. Później zapaliły się światła, oślepiająco jasne po okresie ciemności, i zobaczył Varna.

Stał przy pulpicie sterowniczym, a jego olbrzymie żółte oczy uważnie go obserwowały. Odwrócił blaster w jego stronę i położył palec na języku spustowym. Istota stała spokojnie, nie ruszając się ani nie kuląc, w oczekiwaniu na to co się stanie. Świecące złote oczy spoglądały na niego i przez niego, tak jakby widziały coś, czego w kabinie nie było. Zastanawiał się, czy stworzenie było w kontakcie z istotami swojego gatunku na Świecie Johnny'ego i przekazało im już, że zaryzykowało wysoka stawkę i przegrało.

Nie obawiało się — nie prosiło o litość…

Zabicie Varna nagle zostało pozbawione całego smaku. Stało się czymś, co można zrobić w najbliższej przyszłości, ale najpierw musiał pozwolić temu stworzeniu żyć wystarczająco długo, aby uratować Throona.

Skinął blasterem i powiedział:

– Prowadź do śluzy powietrznej.

– A potem — zabijesz mnie?

– Prowadź – powtórzył szorstko.

Stworzenie nie powiedziało nic więcej, ale posłusznie ruszyło przed nim i pokłusowało korytarzem jak wielki, czarny pies.

****

Stał w wejściu śluzy powietrznej, a Varn przy ścianie po jej drugiej stronie, tam gdzie rozkazał mu się zatrzymać. Throon był już w komorze radiacyjnej, a on odbył pierwszą dzisiejszego dnia zrozumiałą rozmowę z tubylcami.

Varn stał przodem do czerwono-czarnego mroku na zewnątrz oświetlonej śluzy powietrznej, z którego słychać było oddalających się tubylców, idących polaną.

– *W ich myślach nie ma już strachu i podejrzliwości* – powiedział Varn. – *Nieporozumienie zostało wyjaśnione.*

Podniósł lufę trzymanego w ręce blastera. Czarna głowa uniosła się i złote oczy spoglądały w górę, prosto na niego.

– Nie składałem ci żadnej obietnicy – powiedział.

– *Żadnej też nie wymagałem.*

– Nie mogę zatrzymać się na twoim świecie, by cię tam odwieźć, nie mogę również zostawić cię żywego na tym — z tym, czego dowiedziałeś się z mojego umysłu, mógłbyś zmusić tubylców, aby zbudowali Varnom flotę kosmiczną wyposażoną w dezintegratory, dorównującą naszym własnym statkom.

– *Chcę jedynie udać się z tobą.*

Powiedział już to co chciał, by stworzenie wiedziało zanim je zabije, dziwiąc się sam sobie, dlaczego w ogóle to robi.

– Naprawdę chciałbym uwierzyć, że jesteś szczery — i wiesz, dlaczego nie ośmielę się tego zrobić. Zbyt niebezpiecznie byłoby zaufać rasie obcych telepatów. Varnowie dowiedzieliby się wszystkiego, co wiemy my sami, i tylko oni byliby w stanie porozumieć się każdą nową obcą rasą. My musielibyśmy wierzyć w to, co Varnowie nam przekażą — musielibyśmy zaufać wam, ze będziecie za nas patrzyli, za nas mówili i nie oszukacie nas w czasie kiedy będziemy kroczyli przez galaktykę. A wtedy, w końcowym efekcie Terranie staliby się zbędni, chyba że zostaliby rasą zależną. Zostaliby obróceni w niewolę.

– Utworzylibyśmy podstawy dla budowy imperium — Imperium Varn.

Zapanowała cisza, w której jego słowa zawisły między nimi jak jakaś zimna, złowroga, niewidzialna ściana.

Później Varn zapytał, bardzo cicho:

– *Dlaczego wasz Plan wali się w gruzy?*

– Przecież już to wiesz – odparł. – Z powodu bariery — bariery komunikacyjnej, która powoduje, że obcy źle interpretują zamiary ludzi z Eksploracji i boją się ich.

– *Między tobą i mną nie ma żadnej bariery komunikacyjnej — mimo tego obawiasz się mnie i masz zamiar mnie zabić.*

– Muszę cię zabić. Stanowisz zagrożenie dla mojej rasy.

– *Czyż nie jest to ten sam powód, dla którego obcy zabijają ludzi z Eksploracji?*

Nic nie odpowiedział, ale natychmiast w głowie zakołatała mu natrętna myśl: „*Jak my, ludzie z Eksploracji, wyglądamy w oczach istot z obcych światów?*"

Jak wyglądał on sam?… Wylądował na ich świecie statkiem, który mógłby zetrzeć ich w pył, bez najmniejszego śladu; wychodząc ze statku dumnie kroczył, niosąc broń, która była w stanie zrównać z ziemią całe miasto; reprezentował sobą siłę destrukcji, której w żaden sposób nie można było się oprzeć i … nie ufał nikomu ani niczemu.

A w zamian oczekiwał miłego przyjęcia, przyjaźni i współpracy.

– *Na tym polega* – powiedział Varn, – *twoja prawdziwa bariera — to wasza własna podejrzliwość i brak zaufania. Sami sobie ją budujecie na każdym nowym świecie. Teraz wzniesiesz ją między moją i twoją rasą. Wzniesie ją moja śmierć i zalecenie Zarządowi Eksploracji aby objął moją planetę kwarantanną i nigdy nie zezwolił na lądowanie na niej żadnego innego statku.*

Ponownie zaległa cisza, w której myślał nad wypowiedzianymi wcześniej przez Varna słowami „*Jesteśmy bardzo starą rasą…*". W dokonanej przez Varna analizie przyczyn załamania się Planu kryła się prawdziwa mądrość, a przy udziale Varnów pomagających przełamać pat komunikacyjny, możliwe stałoby się zupełnie nowe podejście. Mogliby razem wyruszyć w długą drogę, ludzie i Varnowie, w długą, długą drogę…

Albo mogliby sami pomóc w stworzeniu Imperium Varn… i skąd miał wiedzieć jakim torem potoczy się przyszłość?

W jaki sposób ktokolwiek mógłby to wiedzieć… oprócz telepatów Varn?

Lufa blastera opadła, ale po chwili uniósł ją z powrotem. Zmusił się do odrzucenia niebezpiecznych rozterek, zdając sobie sprawę, że musi zabić Varna natychmiast, ponieważ znów mogą go one ogarnąć. Powiedział więc szorstko:

– Ryzyko jest zbyt wielkie. Chciałbym ci uwierzyć — ale wszystkie twoje deklaracje zaufania i dobrych zamiarów, to jedynie słowa, a tylko moja rasa musiałaby wykazać się zaufaniem dla drugiej strony.

Dotknął języka spustowego blastera i w tym momencie dobiegła do niego ostatnia myśl Varna.

– Proszę, pozwól mi przemówić jeszcze raz.

Czekał, czując pod palcem chłodny i metaliczny dotyk spustu broni.

– Jesteś w błędzie. Już wcześniej daliśmy przykład zaufania do was, pytając cię, czy mógłbym udać się z tobą. Powiedziałem ci, że nie mieliśmy zamiaru wyrządzić krzywdy twojemu bratu i powiedziałem ci również, że oglądaliśmy gwiazdy jedynie w taki sposób, jak mogą to robić małe dzikie zwierzęta. Lata spędzone w ciemnych jaskiniach… czy nie rozumiesz…

Oczy Varna spojrzały na niego i jednocześnie poza niego; piękne, bez najmniejszego wyrazu, jak polerowane złoto.

– Varnowie są ślepi.

KONIEC